

WOLNA POCZTA INTERNOWANYCH

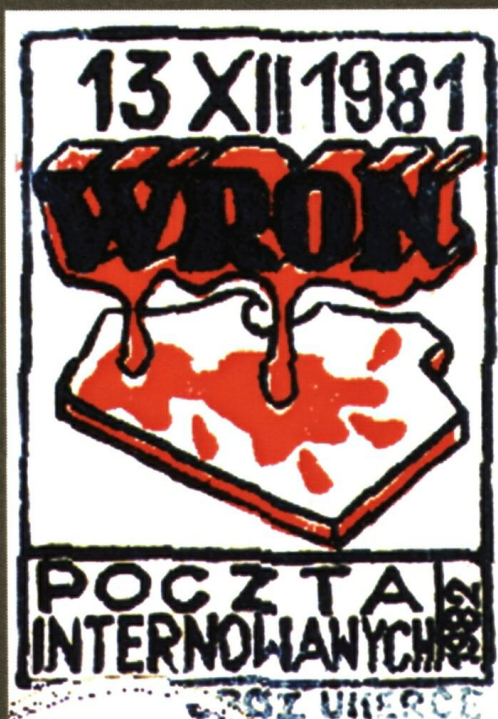
w obozach internowania w okresie stanu wojennego w Polsce

Galeria E Zachodniopomorskiego Centrum Doskonalenia Nauczycieli, ul. Gen. J. Sowińskiego 68, Szczecin grudzień 2010 r. – styczeń 2011 r.

 **ZCDN**
Zachodniopomorskie
Centrum Doskonalenia Nauczycieli




GALERIA



Prezentowany na wystawie fragment zbioru poczty podziemnej jest gromadzony przeze mnie już od wielu lat i końca nie widać. Szacuję, że wydano około 30–35 tysięcy pozycji, czyli więcej niż wydała oficjalna Poczta Polska przez cały okres swojego istnienia. Z tego zbioru pochodzą również prezentowane na wystawie znaczki i grafiki z obozów internowania. Wolna Poczta Obozowa, ma zasadnicze znaczenie dla całej poczty podziemnej, była dla niej bowiem niejako pierwowzorem.

Prezentowane zbiory pozwalają zobaczyć prace wielu artystów, często bezimiennych, tworzących w bardzo trudnych warunkach małe dzieła sztuki, które przetrwały do dziś.

Mam nadzieję, że oglądając tę wystawę, docenimy trud i poświęcenie „domorosłych grafików”, którzy dołożyli swoją cegiełkę do walki o wolność i niepodległość. Na stronie internetowej www.solidarity.yoyo.pl można zobaczyć większy fragment zbioru, który, jeśli czas pozwoli, zostanie w całości zamieszczony w Internecie. Bardzo trudno jest odnaleźć informacje o autorach poszczególnych znaczków lub serii wydanych w obozach internowania. Znaczki powstawały w społecznościach zamkniętych. Dotarcie do wszystkich, którzy wykonywali grafikę obozową, jest praktycznie niemożliwe. Udaje się jednak identyfikować twórców niektórych pozycji.

Taką osobą, która w obozie internowania – a nawet wcześniej w Zakładzie Karnym w Goleniowie – wykonała pierwszy znaczek, był szczecinianin, Jan Tarnowski. Później, w obozie internowania w Wierzchowie Pomorskim, stworzył on cały szereg znaczków i grafik. W obozie internowania w Kwidzynie sporą ilość znaczków (ok. 26 pozycji, wliczając w to grafiki i pieczęcie) wykonał Andrzej Edward Busse. W tym samym obozie powstało wiele pozycji wykonanych przez Krzysztofa Stasiewskiego, zaś w Wojskowym Obozie Specjalnym w Czerwonym Borze tworzył Leszek Jaranowski.

To tylko niektóre z osób, zajmujących się w tym czasie „produkcją” i dystrybucją zakazanych druków. Wielu twórców nigdy nie poznamy. Sposoby wykonania grafik były różnorodne, ze względu na skromny zasób środków, jakimi dysponowali internowani w obozach, zakładach karnych czy Wojskowych Obozach Specjalnych.

Henryk Mruk



Najważniejsze przy wykonywaniu znaczka było ustalenie z moimi przyjaciółmi, jaki temat obrać, aby był „ważny” z punktu widzenia opozycji i sytuacji. Przystępując do pracy, korzystałem z widokówek oraz innych obrazków i wykonywałem projekt w ołówku na kartce papieru o wymiarach około 10x15 cm. Na rysunek przyklejałem na krawędziach folię i tu następowała najtrudniejsza praca, a mianowicie dziurkowanie. Najcieńszą igłą do szycia, nakłuwałem kontury dziurka po dziurce. Należało kluc z jednakową siłą, bo jak za słabo, to tusz nie przepływał, a jak za mocno, to zamiast kropki robiła się plama. Na jeden znaczek przeciętnie zużywałem od 3 do 5 folii. Po pewnym czasie kurczowe trzymanie igły doprowadzało do zdrętwienia palców, ale próba oprawienia jej, jak np. stalówki w obsadkę, nie dawała pozytywnego rezultatu, bo co prawda było wygodniej trzymać, ale brakowało wyczucia i częściej robiło się dziurę zamiast dziurki. Pierwsze znaczki w moim wykonaniu były jak drukowane, dopiero potem folia zaczynała się rozciągać i wyniki były coraz gorsze. Żona przywoziła tusze do pieczętek – o ile pamiętam miałem pięć kolorów: czarny, niebieski, zielony, czerwony i żółty. Nigdy nie używałem, jak pisze Stasiewski, rozpuszczonego tuszu z wkładów do długopisów. Staralem się, by drukowanie jednego znaczka przeprowadzać w ciągu 1–2 dni, w tym czasie wykonywałem 200–400 odbitek na kopertach lub na kartce, ciętej potem na znaczki, a także dla kolegów, gdzie się dało: w *Biblii*, w książkach, na widokówkach i zdjęciach. Inni koledzy drukarze mieli według mnie niemiły zwyczaj, nazwijmy to, oszczędnego drukowania, to znaczy drukowania tylko dla najbliższych. Ja drukowałem na zasadzie, ile się da i niech bierze, kto chce. Zakładaliśmy też, że około 10–20% wpadnie w łapy klawiszy. Wychodziliśmy z założenia, że klawisze zanoszą taki znaczek do domu i zobaczą to ich rodziny i znajomi. Miało to dla nas duże znaczenie – niech nie wierzą propagandzie, że w Polsce jest już wszystko pod kontrolą WRON-y. Jeżeli drukuje się za kratami, to co dopiero dzieje się na „wolności”. No i działa się! Każdy znaczek z założenia miał mieć własny kolor, to znaczy nowy odcień z wymieszanych podstawowych kolorów. Ale tusz był na wagę złota, więc rozrabiałem na oko minimalną ilość, może na 30–50 sztuk, w razie zagrożenia i tak wszystko tonęło w kibelku. Reszta zapasów była chowana w skrytkach. Dalsza produkcja wznawiana była na zasadzie: „to chyba były 4 kropelki tego koloru, 10 tego i 2 tego”. Stąd te różnice w odcieniach. Tak więc kładłem folię na kopertę, watką umoczoną w tuszu tampowałem i jak widziałem, że pod folią jest już gotowy sitodruk, to przekładałem ją na następną kopertę. Przeciętnie potrzebowałem 10–15 godzin na przygotowanie projektu i podziurkowanie folii. Wykonałem około dwudziestu projektów, a więc na same znaczki zeszło mi około 500 godzin. Tej pięknej i jakże niebezpiecznej pracy towarzyszył ciągle strach i obawa przed wpadką, zwłaszcza że znaczki wyносили z obozu krewni i przyjaciele, najczęściej przy okazji odwiedzin.

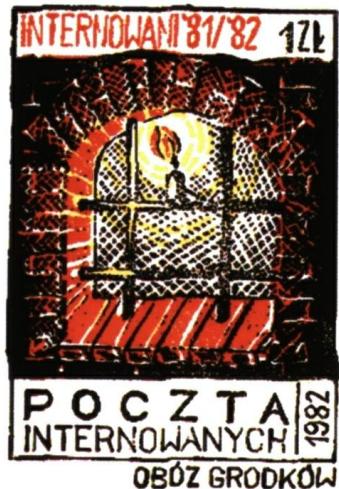
Andrzej Edward Busse



BRAK CENZURY
PRZYSPIESZA DORĘCZENIE
LISTU



W Szwajcarii, w Rapperswil, w Muzeum Polskim postanowiono zorganizować wystawę o Polsce w okresie stanu wojennego. Konieczne były materiały, których wtedy w ogóle to muzeum nie posiadało. Postanowiłem więc moje pieczołowicie ukryte w Polsce zbiory przemycić przez granicę. WOP, Urząd Celny, Kontrwywiad i Służby Bezpieczeństwa PRL-u nic nie mogły poradzić na informacje, które wywoziłem w głowie, tym staranniej rewidowano więc mnie i mój samochód. Na przejściach granicznych wtedy nie było absolutnie żadnych podróźnych – tylko ja. Pomimo to wjazd do NRD zajmował około 5–15 godzin. Poszukiwali tzw. grypsów, co oznaczało obmacywanie, nawet szwów na siedzeniach. A ja wówczas miałem przewieźć paczkę o wymiarach zbliżonych do standardowego wydania *Biblii*. Podjeżdżając do przejścia granicznego, zatrzymałem samochód w odległości około 500 m od granicy, w takim miejscu, że byłem pewny, iż obserwują mnie przez lornetkę służby graniczne. Otworzyłem maskę, wyjąłem filtr powietrza i wyrzuciłem do rowu, następnie zamknąłem maskę i pojechałem prosto na granicę.

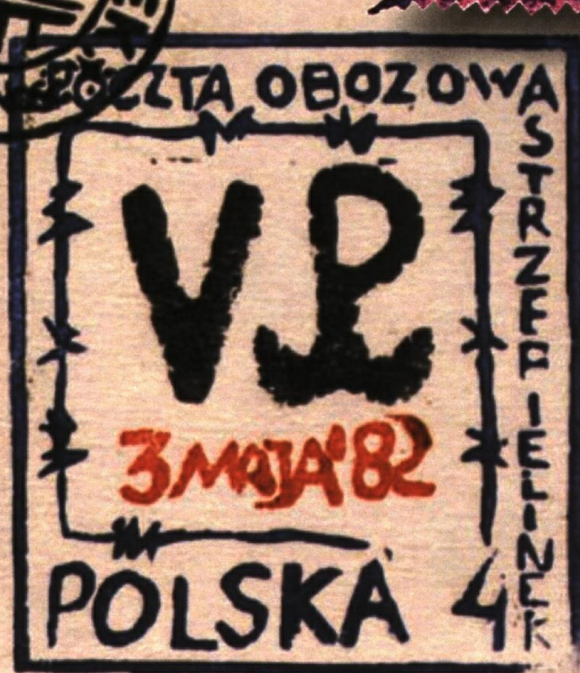


Oczywiście na tym odcinku drogi byłem wtedy sam – nigdzie ani śladu innych samochodów – dzisiaj to nierealne. Natychmiast mnie otoczyli i otworzyli maskę. Zapytali, dlaczego wyrzuciłem filtr, „martwili się”, że zepsują auto. Powiedziałem im: „G...o was obchodzi moje auto i to, dlaczego jeżdżę bez filtra!”. Normalnie mnie przeszukali i pojechałem do Niemiec.

Następnym razem, kiedy byłem w Zielonej Górze, zapakowałem dokumenty w worek foliowy i włożyłem pod pokrywę gaźnika. Okazało się, że trzeba zrobić coś w rodzaju wsporników, bo inaczej zatka się wlot powietrza. Paka – całkiem duża – podniosła się jeszcze o centymetr. Nowy filtr położyłem obok, pod maską i pojechałem na granicę. Znowu w tym samym miejscu powtórzyłem całą zabawę, z tym że wyrzuciłem filtr, który leżał obok gaźnika. Zebrali się wokół mnie, więc podniosłem maskę i powiedziałem, że tym razem również jadę bez filtra. Zaproponowałem, aby dokładnie sprawdzili, że to prawda. Odpowiedzieli mi, że to ich nie interesuje, a ja no to: „Pogapcie się w gaźnik!” i jak głupi odkręcam pokrywę i z tym „talerzem” idę do nich. Zerknąłem jeszcze raz i zamarłem. Tam, gdzie normalnie jest czarna dziura w gaźniku aż świecił się biały worek foliowy, w który opakowałem przemycane dokumenty, ale oni pamiętali moje ostatnie drwiny i nawet nie zerknęli w tę stronę. Szczęśliwy przykręciłem pokrywę. Przeszukali jeszcze auto i mnie, potem pojechałem. Wszystkie przemycane przez granicę dokumenty dotarły na wystawę w Muzeum Polskim w Rapperswil w bardzo dobrym stanie. Ktoś zebrał brawa za wspianą zbiór. Do Polski wróciło aż 70–80% zbiorów.

Andrzej Edward Busse





Wystawa „Wolna Poczta Internowanych” została zorganizowana dzięki nauczycielowi Publicznego Gimnazjum im. Książąt Pomorza Zachodniego w Trzebiatowie, Henrykowi Mrukowi, który, udostępniając swoje, jakże cenne zbiory, pozwolił przypomnieć o jednym z elementów składowych walki o wolność i sprawiedliwość w naszym kraju. O swojej kolekcji mówi tak: „Jest niewiele instytucji w Polsce współczesnej, które gromadzą tego typu zbiory. Nie znam żadnej instytucji, która może poszczycić się zbiorem obejmującym całe spektrum tego zagadnienia. Spore zasoby posiada Uniwersytet Jagielloński, Ośrodek KARTA, Ossolineum we Wrocławiu oraz Archiwum Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność” w Gdańsku. Jednakże nie można ich nawet porównać z prywatnymi zbiorami, polskimi i zagranicznymi”.

Zaprezentowana na wystawie kolekcja znaczków i kopert z nadrukami, grafik okolicznościowych oraz innych druków, jest w trakcie opracowania dla potrzeb biblioteki cyfrowej ZCDN-u i za zgodą właściciela z biórow, zostanie udostępniona osobom zainteresowanym.

ZCDN dołącza tym samym do grona nielicznych instytucji posiadających tak cenne zbiory w formie elektronicznej. Wystawa, wraz z prezentacją multimedialną przygotowaną przez Henryka Mruka, może posłużyć nauczycielom historii, wiedzy o społeczeństwie, wiedzy o kulturze, a także zajęć artystycznych, jako pomoc dydaktyczna przy omawianiu związanych z nią zagadnień historycznych, społecznych i artystycznych.

Dziękuję Henrykowi Mrukowi za udostępnienie zbiorów oraz wsparcie merytoryczne podczas przygotowania wystawy, która nigdy nie powstałaby bez jego ogromnego zaangażowania i społecznej postawy.

Ryszard Baloń



